Cena 20 groszy

DZWONKI

PISMO DLA DZIECI
NIŻSZYCH KLAS SZKÓŁ POWSZECHNYCH



WARSZAWA
ROK 2

16

15 KWIETNIA
1939



W LAS

Lasy nasze, lasy,
bory pełne krasy!
Idę sobie, śpiewam
od drzewa do drzewa.

Ledwo wstaje ranek,
już mam pęk sasanek;
gdy fiołków szukam,
dzięcioł na mnie puka.

Mawiali ojcowie,
że „kto sieje lasy,
ten jest pożyteczny
ludziom w długie czasy".

Oj, mądrze gadali,
lasy zasiewali,
gdzież byśmy poziomek
i grzybów szukali?

Z czego byśmy mieli
ławę, stół i chatę?
Jak by żył bez lasu
biedny i bogaty?

Zielenią się drzewa,
a ja idę, śpiewam:
— Lasy nasze, lasy,
bory pełne krasy!

E. G.



Lemiesz odwraca tłuste skiby ziemi. Gniady ciągnie wolno, ale równo. Gdy dojdzie do końca, sam staje. Wie, że Wojciech uniesie pług i pomoże zawrócić.

Słońce już się zniża. Trzeba się śpieszyć, żeby do wieczora pole było zorane. Wojciechowi chce się pić. Gdy pług wróci aż do tego krzaka tarniny, co chyli się nad drogą, Wojciech się napije. Bo tam pod krzakiem stoi dzban z wodą. Obok jest butelka z mlekiem i chleb w płóciennym worku. Ale na jedzenie teraz nie ma czasu!

Tylko wrony i kawki używają do syta. Drepczą i podfruwają za pługiem. Wybierają pędraki. A jak która tłustego znajdzie, o mało się nie pobiją.

Siadł mały Jędrek na wzgórku pod tarniną i myśli, jak to będzie na przyszły rok. Bo ojciec mówił, że może się uda drugiego konia dokupić. Wtedy i pług będzie większy. Jędrek będzie też większy! A brat Walek, co chodzi do szóstej klasy, będzie na przyszły rok chyba taki duży, że ojcu pomoże i sam za pługiem pójdzie. Żeby to już prędzej był przyszły rok!

PRZYSŁOWIA

Na świętego Wojciecha, naszego patrona,
już się w zbożu ukryje i zając, i wrona.
W dzień Wojciecha świętego ptaki przylatują jego.
Na święty Jerzy trawa się pierzy.
Na świętego Marka groch wyrasta z ziarnka.
Sadź ziemniaki w wilię świętego Marka,
będzie pod krzakiem miarka.

KRET

A w polu, het,
mieszka pan kret.
Pod ziemią nisko
ma kretowisko.

A że jest bardzo
ten kret bogaty,
ma w kretowisku
wielkie komnaty
i korytarze
długie, kręcone,
śpiżarnie, dobrze
zaopatrzone.

W nich składa różne
krecie przysmaki:
tłuściutkie glisty,
smaczne robaki.

Kiedy nadchodzi
wiosenny czas,
pan kret z kretową
pracują wraz
i kopią w ziemi
to tam, to tu,
łowią pędraki,
co starczy tchu...

Nowe zapasy
zgromadzi wnet
dla swoich kreciąt
mądry pan kret.

H. W. K.



Rankami bywają jeszcze przymrozki, ale wątłe ździebełka trawy nie boją się ich i rosną na wyścigi. Grzeją się wzajemnie, podpierają. Korzonki swoje splątały tak gęsto, że żadna obca roślina tam się nie wciśnie. Choć każda z osobna jest słaba, ale gromadą nie dadzą się nikomu!

A przecież ktoś tam pod ziemią wojuje z trawami nie na żarty. Ziemia się rusza, wznosi, wreszcie powstaje kopczyk z gliniastej gleby. Z kopczyka wysuwa się ostry ryjek. Za ryjkiem głowa bez oczu i uszu. Za głową wałeczkowate stworzonko w czarnym futerku. Wyłazi pracowicie, grzebiąc przednimi łapkami podobnymi do łopatek. Nos mu się zapchał grudkami ziemi, więc trzeba prychnąć mocno, żeby odetchnąć swobodnie.

Prychnięcie przestraszyło szarego ptaszka, który siedział w bruździe między łąką a łanem wschodzącej pszenicy. Podleciał w górę, ale ujrzawszy nieszkodliwe zwierzątko opadł znów na skraj łąki.

— Dzień dobry, panie krecie! — zagadnął. — Alem się zląkł! Mvślałem, że łasica.

— Dzień dobry, sąsiedzie skowronku! Co u ciebie słychać?

— Dziękuję. Pisklęta lada dzień się wylęgną. Boimy się o nie z żoną. Tylu wrogów mamy...

— Co też ty mówisz? Wszyscy cię kochają.

— Bodaj tak! A kuny? A lisy? A koty? A jastrzębie? A kobuzy? Tylko ludzie nie robią nam krzywdy, bo im przy pracy śpiewamy.

Kret westchnął ciężko.

— Szkoda, że ja nie śpiewam. Tak mi dokuczają! Wlewają do jamy naftę, wkładają śledzie, zastawiają pułapki....

— A za cóż się na ciebie zawzięli? Przecie nie zawadzasz nikomu.

(Dok. nast.). ANNA WAJDOWA

psota kaczeńca



Za wcześnie zabłąkany promień słoneczny błysnął przez podziemną szczelinę. Wnet kwiaty zaczęły przecierać zaspane oczy i nakładać na wyścigi kolorowe ubranka.

Stara niania Sennota chwyciła się za głowę:

— Dzieci, jeszcze nie czas! A spać mi zaraz, jeden z drugim !

Ale rozbawione urwisy nie słuchały. Każdy przepychał się do wyjścia, chcąc wyjrzeć na świat. A tu przecież porządek powinien być! Wiadomo, kwiaty mają wychodzić na świat po kolei: najpierw Sasanka, co ma ciepłą szarą sukienkę. Potem Pierwiosnek, Zawilec, Fiołek. A teraz nawet na Sasankę jeszcze za zimno.

— Spać mi zaraz, dzieci — powiedziała niania groźnie — bo inaczej zamknę drzwi na klucz i nikogo aż do maja nie wypuszczę!

Zaczęła rozbierać najmłodszego Fiołka z fioletowej kurteczki. Odpięła sterczącą kryzę Stokrotce. Powoli wszystkie kwiaty zapędziła znów do snu.

Usiadła nucąc tę samą piosenkę, którą usypiała kwiaty na jesieni. I tak upłynęło kilka długich, ciemnych dni i nocy. Wreszcie obudziła się Sasanka.

— Nianiu, śniło mi się, że przyleciał skowronek. Już na mnie czas!

— Już czas, dziecinko — powiedziała niania i zaczęła ubierać Sasankę w ciepłą włochatą sukienkę i kapturek.

Sasanka wybiegła wesoło i nie domknęła drzwi. Przez tę szparę wysunął się za nią mały zielony Kaczeniec. Rad, że mu się udało wymknąć, biegł psotnik szybko ciemnym korytarzem w stronę światła.

Gdy wychylił się na świat, owionął go silny podmuch zimnego wiatru. Aż musiał się zasłonić okrągłym listkiem

niby parasolem. Wtem błysnął mu nad głową złoty promień słońca. Kaczeniec chwycił go i zacisnął mocno piąstki.

Nagle wiatr dmuchnął silniej i wepchnął Kaczusia do ciemnego korytarza. Wracał wolno, a w ciemności promyk świecił mu w rękach niby gwiazda. Kaczuś niósł ostrożnie swój złoty skarb. Cichutko wsunął się przez uchylone drzwi i prędko schował go pod poduszkę. Żeby nie świecił, żeby niania go nie zobaczyła...

Ale niania zobaczyła i tak, bo słonkowego blasku nic nie mogło zasłonić.

— Kaczuś, co to jest? Co się tam u ciebie pali? — spytała zaniepokojona.

— Nianiu, złapałem sobie kawałek promyka, nie gniewaj się!

— Wszystkie kwiaty mi tym blaskiem pobudzisz. Idź go zaraz odnieś! Prędko! — i wypchnęła Kaczusia za drzwi.

Szedł Kaczuś smutny ciemnym korytarzem, a łzy kapały mu z oczu na zaciśnięte piąstki. Tak mu było żal! Ale gdy wyszedł na świat i otworzył szeroko dłonie — o dziwo — złoty promyk nie uleciał. Przykleił się do kaczusiowych piąstek, mokrych od łez, i rozłożył się promieniście na jego paluszkach.

Wiatr jakoś przycichł. Słońce wyjrzało i uśmiechnęło się. Więc Kaczuś już nie chciał wrócić pod ziemię. Było mu ciepło i dobrze. Usiadł na łące. A schwytany promyk niby gwiazda został na jego piąstkach na zawsze.

Odtąd ma kaczeniec złote, promieniste kwiaty.

B. C.

WIOSNA

Jeszcze szron na polach,
jeszcze chłodne ranki,
a już w głębi lasu
drżą małe sasanki.
Przylaszczki pod brzozą
wychylają łebki
niebieskawolila
jak wrzosowe trepki.
Zawilce, stokrotki,
lśnią w polu, na łące...

Słonko jaśniej świeci
i bardziej gorące.
Ciągle coś zakwita,
coś się ciągle rodzi...
I dzionek jest dłuższy,
wcześniej słonko wschodzi.
Ruń okrywa ziemię,
cały świat się budzi,
a uśmiech radosny
drży na ustach ludzi.

ST. DUZY



ZAGUBIONE KURCZĄTKO



Kureczka czubata
po podwórku lata,
lata po podwórku
i gdacze, i burczy:
— Któż mi zabrał moje
ukochane kurczę?



Kogutek zielony
chodzi nastroszony.
— Powiedzże mi proszę,
mój panie kogutku,
czyś mego kurczątka
nie widział w ogródku?

— Nie widziałem, nie słyszałem!
— kogutek zaskrzeczy.
— Mam ja na swej głowie
tyle ważnych rzeczy!

A gąska i kaczka
to jest jedna paczka:
gadu, gadu do obiadu,
kwaku, kwaku, gęgu, gęgu:



od podwórka aż do stawu
i od brzegu aż do brzegu.
nie widziały, nie słyszały...
Zgodnie tak gadają obie:
— Nic nie wiemy o kurczątku,
nie możemy pomóc tobie!

Kureczka czubata
po podwórku lata.
Latałaby pewnie
tak przez dzionek cały,
gdyby nie ujrzała
naszej Hani małej.





Siedzi sobie w trawie
na słońcu Haniątko,
śpi na jej kolanach
zgubione kurczątko.

MARIA BALICKA



(Ciąg dalszy).

Pewnego razu stary Marcin powrócił do domu przed wieczorem zupełnie pijany. Złymi, zmrużonymi oczami począł się wpatrywać w ciemny kąt na szafie, gdzie zawsze ukrywała się przed nim Tun-Tun. Grożąc w jej stronę włochatą pięścią zamruczał plączącym się językiem:

— Chodź tu, poczwaro, właź do klatki, przebrzydła pokrako!.. Ubiję... łeb urwę!!

Posłuszna zawsze małpka zeskoczyła z szafy i jak strzała całym pędem śmignęła koło nóg Marcina.

Ten chciał kopnąć przebiegającą Tun-Tun, lecz chybił. Zatoczył się więc, i gdyby nie zdążył oprzeć się o stół, runąłby na pewno jak długi na podłogę. Zaklął brzydko. Żeby wywrzeć na kimkolwiek swój gniew, wrzasnął na Józka:

— Ile razy mam powtarzać ci, bęcwale, żebyś wieczorem zamykał małpę w klatce? Chodź tu, nicponiu jeden!

Długo bił Marcin płaczącego chłopaka, targał za uszy i włosy, kopał go ciężkimi buciskami. Tun-Tun przyglądając się temu drżała i zgrzytała ząbkami. Zmęczywszy się biciem, stary pijak posłał poturbowanego chłopaka po wódkę, sam zaś upadł na siennik i mrucząc coś do siebie zapalił papierosa. Po chwili usnął i zaczął chrapać.

Papieros wysunął mu się z ust i spadł na siennik.

Marcin pomrukiwał coś przez sen.

Nagle chrapki Tun-Tun poruszyły się i wciągnęły powietrze. Poczuła zapach dymu, zakrztusiła się nim i poczęła prychać. Przycisnąwszy pyszczek do blaszanej kraty ostrożnie zajrzała do kąta, gdzie leżał znienawidzony przez nią Marcin.

To, co spostrzegła, tak ją przeraziło, że zarechotała przeraźliwie:

— Te-e-eh, oh, oh, oh — teeh!

W ciemnym kącie miotały się czerwone języki ognia i lizały już ścianę z wiszącymi na niej łachmanami, które brał na siebie Marcin wychodząc na żebraninę.

Tun-Tun w popłochu miotała się po klatce. Gęsty, zjadliwy dym gryzł jej ślepki i dusił. Na szczęście klatka nie była zamknięta. Potrąciwszy drzwiczki i ujrzawszy wolne wyjście, małpka wymknęła się z klatki. Nie wiedząc, co robi, jednym susem skoczyła na okno, stłukła szybę i z jazgotem i wrzaskiem wypadła na podwórze. Na jej krzyk wyszli ludzie mieszkający w sąsiednim domu. Ujrzawszy dym jedni pobiegli alarmować straż pożarną, inni pośpieszyli do izdebki żebraka niosąc kubły z wodą. Zanim nadążyli strażacy z sikawką, sąsiedzi zagasili płonący siennik, jakieś tlące się rupiecie i ścianę, samego zaś Marcina, mocno poparzonego, wynieśli na dwór.

Nazajutrz w izdebce leżał obandażowany przez lekarza żebrak i jęczał głośno. Józek poił go jakimś lekarstwem, a siedząca na klatce Tun-Tun kręciła łebkiem i dziwiła się ogromnie. Stary pijak mówił niezwykle cicho i żałośnie, wcale nie krzyczał i nie przeklinał.

— Patrz no, Józek! — mruczał łagodnym głosem Marcin. — Jaka to mądra małpka! Gdyby nie ona, to bym się wczoraj żywcem spalił... Tun-Tun! — zawołał po chwili.

Małpka podeszła natychmiast wpatrując się nieufnie w jakieś dziwnie wilgotne oczy starego pijaka. Zdrową ręką dotknął jej łebka i szepnął:

— Tun-Tun, mądra Tun-Tun!

Małpka odeszła od niego i lekko zgrzytając ząbkami z powrotem wskoczyła na klatkę.

Od tego wypadku minęło już trzy miesiące. Tun-Tun i Józek nie mogli wyjść z podziwu. Marcin zmienił się raptownie nie do poznania. Przestał pić, nie klął już nigdy i nie bił Józka i małpki. Często brał ją na kolana i drapiąc w karczek przemawiał do niej. Siedziała nieruchoma, ale włosy na karku jeżyły jej się ze strachu, błyskała ślepkami i zaciskała ząbki. W jej małym serduszku bezbronnej, samotnej małpki okrutny i brutalny człowiek obudził nienawiść. Nie rozumując czuła niesprawiedliwość i krzywdę, która ją spotkała. Nienawidziła i bała się Marcina. Tych uczuć małej małpki nie mógł już zmienić stary Marcin, choć pragnął tego. Przecież był jej wdzięczny za uratowanie go od śmierci. Z czasem jednak przyzwyczaili się do siebie i żyli w zgodzie i spokoju.

(D. c. n.). F. A. OSSENDOWSKI



Była sobie pewna mucha, nazywała się Smolucha. A dlatego tak się zwała, że o czystość nic nie dbała. Przysiadała na śmietniku, gdzie wszak brudu jest bez liku, i maczała nóżki w błocie, gdzie zarazków różnych krocie. I po drogach też chodziła, w kurzu brzuszek wciąż brudziła; skrzydeł czepiał się pył wszelki... Nieporządziuch był z niej wielki!

Odznaczała się też przy tym niebywałym apetytem. Ciągle czegoś próbowała, smakowała, kosztowała. Czy to gorzkie, czy cukrzone, czy to kwaśne, czy też słone? Czy to zimne, czy gorące, bez zapachu, czy pachnące?

— Bzz, bzz — nie pogardzzzę niczym, lecz najlepsze sssą ssłodycze!

Tak bzykała nasza mucha, straszna, straszna łakomczucha.

— — — — — — — — — — — — —

Raz położył Tadeuszek na talerzu pięć jabłuszek. Leci mucha bardzo rada i na jabłku zaraz siada. Chce spróbować sobie z brzega, ale Tadek wnet nadbiega:

— Sio, uciekaj, brzydka muszko! Zabrudziłaś mi jabłuszko!

I nim jabłko zjadł soczyste, umył najpierw w wodzie czystej.

Piekła w kuchni też Haneczka na niedzielę raz ciasteczka. Wpada mucha przez okienko i tak sobie bzyka cienko:

— Bzz, okazzzja zzznakomita, terazzz najem się do sssyta!

Słucha mała Hania, słucha:

— Skąd się tutaj wzięła mucha? Ciągle mi nad ciastkiem bzyka, brud przynosi ze śmietnika!

Muchę z kuchni precz wygania, okno siatką wnet zasłania.

Widzi mucha Katarzynkę, co zajada leguminkę, zaraz więc podfruwa z boku:

— Bzz, ssspróbuję tego sssoku!

— A sio, mucho ty przebrzydła, pył przynosisz mi na skrzydłach! Zmykaj prędko, radzę szczerze, bo wnet łyżką cię uderzę!

— — — — — — — — — — — — —

Tam na rynku dwie kupcowe w długą wdały się rozmowę. Gadu-gadu, gadu-gadu od śniadania do obiadu. Ta się śmieje, ta się śmieje i nie patrzą, co się dzieje.

A mucha ma używanie! Łazi sobie po straganie i kosztuje wnet cukierka, który leży bez papierka, i próbuje czekoladki, której nie skrywają siatki. Spaceruje po malinach, po truskawkach, po jeżynach...

A wnet przyszły dwie dziewczynki po truskawki, po malinki. I zjadły je z apetytem, chociaż były nie umyte!

Szedł tamtędy też Walerek:

— Proszę panią o cukierek.

Potem przyszli Jaś i Władek i kupili czekoladek. A przecież po czekoladkach, po cukierkach i pomadkach chodziła Smolucha-muszka, co zarazki ma na nóżkach!

No i kłopot był niemały. Dzieci się pochorowały. Przyszedł doktór, głową kiwał, wciąż recepty zapisywał. Trzeba było leżeć w łóżku i kompresy mieć na brzuszku. Tatuś biegał do apteki, mama podawała leki. Dużo było jęku, płaczu, dużo smutku i rozpaczy.

Jakaż zmartwień tych przyczyna? Czy to tylko muchy wina?

H. W. K.

PSOTKA

Jedna kotka, pieszczotka,
wabi się: panna Psotka.
Wszędzie z tego jest znana,
że zbytkuje od rana.
To się drapie na drzewa,
ptaki z gniazd chce wybierać;
wodę z dzbanka wylewa,
żeby było co ścierać;
to gdzieś skoczy, to drapnie,
to coś stłucze, przewróci...

Aż się mama odgraża,
że tę Psotkę wyrzuci.
Co dzień szkoda jest inna,
a wciąż Psotka jest winna!
Żadnych gróźb się nie boi,
jak broiła, tak broi.



A gdy wszystkim dokuczy,
chce się pieścić i mruczy.

JANINA OLSZEWSKA

OSTATNIE ZAGADKI KONKURSOWE

ZAGADKA ARYTMETYCZNA.

(4 punkty).

Kazik dostał od matki pewną ilość pieniędzy. Połowę tych pieniędzy oddał bratu. Za połowę tych, kóre mu potem zostały, kupił zeszyty. A z tego, co mu jeszcze zostało, zapłacił za ołówek w sklepiku szkolnym 8 groszy. Wtedy zostało mu już tylko 12 groszy i wrzucił je do skarbonki.

Ile pieniędzy matka dała Kazikowi?

DOPISYWANKA.

(4 punkty).

p	a	×
g	×	l
×	k	o
o	×	a
s	y	×
p	×	n

Dopiszcie brakujące litery zamiast krzyżyków tak, aby utworzyć 6 wyrazów trzyliterowych. Dopisane litery czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy, że pierwszy i drugi wyraz — to nazwy ptaków.

Uwaga. To są ostatnie zagadki konkursowe; wszystkie rozwiązania trzeba przysłać najpóźniej do 1 maja. Rozstrzygnięcie konkursu znajdziecie w numerze 20.

DRODZY PRZYJACIELE!



Bardzo dziękuję za list *Romanowi Łuczkiewiczowi* we Lwowie. Zagadki oddałem do konkursu. Ale chciałbym, żebyś mi więcej napisał o sobie i o swoich figielkach!

Janek Małczyński w Kielcach. Widzę, że Klimontów to ciekawa miejscowość. Fotografia, którą mi tym razem przysłałeś, też jest bardzo ładna. Pozdrawiam Cię pięknie: pa, pa!

Ktoś napisał do mnie taki list: „Figielku, bardzo mi się podobają przygody Twoje i małpki. Proszę mi odpisać, kiedy wychodzą Dzwonki". Ale jak mam odpisać, kiedy ten tajemniczy ktoś nie podpisał się i nie podał adresu? Próbuję napisać tak: „Kochany Ktosiu! „Dzwonki" wychodzą 1 i 15 każdego miesiąca przez 10 miesięcy szkolnych". Może ten „Ktoś" przeczyta i odgadnie, że to do niego!

Czy zdajecie sobie sprawę, moi drodzy, że to już wiosna? Bo ja tak, jeszcze jak! Zamiast lizać odmrożone łapy, biegam sobie wesoło. A taki jestem przemyślny, że zawsze układam się do spania na słońcu. I śni mi się, że ono coraz mocniej świeci. A jeżeli deszcz pada, to się też nie martwię. Bo sobie myślę, że trawa rośnie, i zboże, i liście na drzewach. Zresztą nigdy się nie martwię, to niemądre zajęcie i na zdrowie szkodzi. W zimie ostatecznie też można figlować! Więc śpiewam sobie tak:

Czy to wiosna, czy to jesień,
każdy dzień mi radość niesie.
Czy to lato, czy to zima,
kto wesoły, zgryzot nie ma!

Wasz Figielek.

WARUNKI PRENUMERATY „DZWONKÓW".

	poj. egz.	półrocznie	rocznie
W Polsce	20 gr	2.00 zł	3.60 zł
Za granicą	30 gr	3.00 zł	5.40 zł
W St. Zj. Ameryki Pn. .			1,5 dol.

Na tych samych warunkach można zaprenumerować dwutygodnik dla dzieci wyższych klas szkół powszechnych p. t. „Młody Polak". Konto P.K.O. dla „Młodego Polaka" jest inne, a mianowicie: 11.044.

Prenumeratorom, zamawiającym naraz 10 lub więcej egzemplarzy jednego numeru dodajemy 1 egz. bezpłatnie przy każdych opłaconych 10 egz.

Adres redakcji i administracji, Warszawa, Chmielna 58, nr telefonu redakcji i administracji: 6-93-65. Redaktorka przyjmuje w środy od godz. 17 do 19 i w soboty od godz 12 do 14. Rękopisów się nie zwraca. Administracja czynna codziennie od 12 do 13. Konto P. K. O. 13066.

Redaktorka: **Maria Niklewiczowa.** Wydawca: za Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — **Antonina Tyszkowska.**

Drukarnia Wzorowa, Warszawa Długa 20, tel. 11-16-60.


FIGIEL W KRAINIE CZARÓW
-Nie-oznajmia król ze śmiechem-
-chcę z tych błaznów mieć uciechę.
Feldmarszałku! Sługom każcie
zamknąć ich tymczasem w baszcie!
Tam dopiero biedna psina
mapę sobie przypomina.
MAPA
Ostrożnie!
Gdyby wcześniej popatrzyli,
nigdy by tu nie zbłądzili!
Zimno.. głucho... brak jedzenia,
tylko z mysiej gnat pieczeni..
Pod podłogą wciąż coś stuka...
Murzyn w strachu wyjścia szuka.

(D. c. n.).